

## PEREGRYNACJE

# Artyści wędrowni

**K**iedy mówimy o artystach wędrownych, na myśl przychodzą średniowieczni

francuscy truverzy czy trubadurzy, ewentualnie niemieccy minnesingerzy, chociaż to nie przemieszczanie się pomiędzy dworami i siedliskami ludzkimi konstytuowało ich byt, ale to, że wszyscy oni śpiewali pieśni miłosne. Typowo wędrownym artystą był natomiast jongleur. Nam oczywiście zongler kojarzy się natychmiast z cyrkiem, do dziś ostoją ludzi uprawiających sztukę w ruchu, bo poszukujących publiczności w kolejnych nowych miejscach. Wtedy jednak jongleur nie popisywał się zręcznością rąk zonglując przedmiotami, tylko był muzykiem, akompaniatorem trubadura.

I współcześnie najbardziej ruchliwymi artystami, oprócz cyrkowców, są muzycy. Organizują trasy koncertowe po całym kraju, a ci najstynniejsi po całym świecie. I jest to pewna norma. Trudno mówić o takiej normie w przypadku artystów teatralnych. Rzecz jasna, są jeszcze teatry objazdowe. Są monodramiści, którym trudno



ANDRZEJ  
MOLIK

byłoby wyżyć się uprawiając swą sztukę w jednym mieście. Są festiwale gromadzące zaimportowane przedstawienia. Są wreszcie sprawne działy organizacji widowni potrafiące sprowadzić – ku radości swojej lokalnej publiczności – jakiś hit grany w kulturalnych metropoliach.

Gdybyśmy jednak szukali dziś wędrownych kuglarzy, spadkobierców mobilnych trup teatralnych w stylu tych ulubieńców Hamleta, o których mówił, że są „żywą kroniką czasów”, to stwierdzimy, że najlepiej tę ideę realizują teatry nieinstytucjonalne, zwane poszukującymi czy alternatywnymi. Myśl ta zaświtała mi po niezwykłych przeżyciach minionego weekendu. Jeśli zajrzycie Państwo do wydań Kuriera z soboty i poniedziałku, a także do dzisiejszego, przekonacie się, że wciąż, w trzech różnych sytuacjach powtarzają się tam nazwiska artystów z Teatru NN. W tym miejscu skumulują te wydarzenia, by wyraźniej

unaocznic skalę przedsięwzięcia i trud tych ludzi.

Otóż jedną z ozdób piątkowego świętowania 110. rocznicy urodzin Brunona Schulza stał się spektakl „Był sobie raz” w wykonaniu Witolda Dąbrowskiego i akordeonisty Bartłomieja Stańczyka. W sobotę został on pokazany w Kazimierzu na... statku płynącym po Wiśle. W niedzielę zaś w Kawiarni Artystycznej Hades też zaprezentowano to przedstawienie otwierające tryptyk opowieści chasydzkich wyreżyserowanych przez Tomasza Pietrasiewicza, jak również zamykający go spektakl „Taibełe i jej demon”.

Nie dosyć tego. Na urodzinach Schulza Witek śpiewał trzy wersje piosenki Janka Kłoczowskiego, m.in. do muzki Bartka i Jarka, a ci dwaj dali odrębny koncert muzyki żydowskiej. Hadesowy wieczór też skończył koncert wspomnianego duetu. Czy należy się więc dziwić, że nasi wędrowni artyści są tak kochani, iż podąża za nimi tłum wielbicieli – z Lublina do Kazimierza, z Kazimierza do Lublina. Rodzi się dzięki nim zupełnie nowa jakość: wędrujący widzowie.